

ROZD
ROŽA
1999



ELI
ASZ
CHM
IEL

**ROZD
ROŻA
1999**

**ELI
ZS
CH
IEL**

Copyright © Elias Chmiel

Wydawnictwo Glowbook
ul. Kolegiacka 2/2
98-200 Sieradz
kontakt@glowbook.net

Redakcja i korekta:
Robert Rybicki

Projekt okładki:
Paweł Harlender | kmina design

Skład i łamanie:
Justyna Kramarz | Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Konwersja e-book:
Studio Grafpa, www.grafpa.pl

ISBN 978-83-960385-8-6

Za konsultację merytoryczną na temat wydarzeń z okresu kolonialnego (Perspektywa I, II i XIII) Autor bardzo dziękuje dr Agacie Błoch, badaczce historii grup podporządkowanych w imperium portugalskim.

Dla Janka Reguły.
À Zinha.
Dla Rodziny, Przyjaciół, dla Ciebie.
Dla siebie.

Drobny ptaszek zostawiał po sobie jeszcze drobniejsze ślady. Przyptyw, odpływ – i piasek wyglądał, jak gdyby ptaszek nigdy po nim nie dreptał. Podlatywały kolejne, dreptały, tuptały, przyptyw, odpływ – i tak w koło. „Czy ptaki są na ogół szczęśliwe?” – przeszło mi samo z siebie przez głowę.

Na rozległych połaciach mułu, które obnażyła przed nami wyjątkowo wysoka amplituda pływów morskich, byliśmy tylko my, kilka polujących na kraby czapli, parę łodzi, które utknęły na mieliźnie i znacznie od nas oddalona gromadka leciwych rybaków. Z moją Txai u boku, równikowym słońcem nad głową i czystą wdzięcznością w sercu, byłem najszczęśliwszym człowiekiem w São Luís.

W takich właśnie okolicznościach znalazłem „Pasję Alwina K”. W porzuconej sieci rybackiej zaplątane było oklejone taśmą, szczelnie zamknięte pudełko a w nim okazałych rozmiarów matrioszka i ziarnka białego piasku. Zaintrygowany do granic możliwości, z mułem na rękach, próbowałem dobrać się do wnętrza niezwykle znaleziska jak najszybciej. Serce prawie stanęło mi z wrażenia, kiedy w środku drewnianej figurki ujrzałem wypisany mikroskopijną niemalże czcionką manuskrypt.

Co prawda niejednokrotnie odnosiłem już wrażenie, że to nie my szukamy książek, a one nas; że czasem czają się na nas przez lata, wytrwale drążą skałę przeciwności losu, by utorować sobie do nas drogę i zaskoczyć nas na zakurzonej półce w bibliotece, na straganie staroci, by dać nam odpowiedzi dokładnie na te pytania, które ostatnimi czasy najbardziej nas trapiły, by doprowadzić nas do celu. Nie wykraczało to jednak poza poetyckie fantazjowanie. Z „Pasją Alwina K.” było zupełnie inaczej. Początek lektury wymagał ode mnie co prawda odrobiny cierpliwości, ale kiedy w końcu połapałem się, o co chodzi w tej całej dość amatorskiej na pierwszy rzut oka historii... Mordeczko, j a z d a b e z t r z y m a n k i.

**P
AS
JA**

**AL
WI
NA
K.**

Nie istnieje rzecz smutniejsza niż mieć spokój
i przy tym żałować, i się z tym pogodzić,
i opierać się kolejnym pasjom.

– Vinícius de Moraes,
„Tempo de amor (Samba do Veloso)”

PER SPEK TY WA I

Nic tak nie rozbudza jak rezonans wystrzału z broni palnej na pustkowiu. Statystyczny ospały pozostaje zwykle w przekonaniu, że zwyczajnie przekracza kolejny meander snu. Najgorszym koszmarem jest jednak ten, w którym rzeczywistość brutalnie potwierdza swą tożsamość nadmiarem autentyczności.

Tego poranka Dandarze nie przeszły nawet przez głowę żadne meandry. Otworzywszy oczy, ujrzała nad sobą, po raz pierwszy w życiu, białą twarz. Na dworze zapobiegawcze czaple odleciały w popłochu. Mężczyzna, nic nie mówiąc, zacisnął rutyniarsko swe przerośnięte dłonie na jej młodzieńczym gardle. Chwilę (i parę morderczych wystrzałów) później, wszyscy mieszkańcy osady – ubezwłasnowolnieni wprawionymi już łańcuchami – zostali zgromadzeni na środku wioski. Dziecięcy płacz mieszał się z nieopadniętymi jeszcze drobinami piachu i afrykańskim słońcem. Dandara, w przeciwieństwie do swoich sióstr, nie pozwoliła sobie na uzewnętrznienie słabości. Przełknęła cały ciężar goryczy i strachu raz na zawsze, choć nie wiedziała jeszcze, że to dopiero początek wielowiekowej makabry.

Ich grupa, po trzech dniach morderczej podróży na statku przemierzającym znaną im częściowo rzekę, pomniejszona o tych, którzy nie przetrwali przeprawy, dotarła wreszcie do portu. Bez jakichkolwiek objaśnień umieszczono ich w drewnianych barakach przy cumowisku. Dzieliłi je z osobami, od których nie zdołali się dowiedzieć niczego konkretnego, ponieważ pochodziły one z innych plemion, mówiły w innych językach, wyznawały inne religie. Dla Dandary nowa rzeczywistość była czymś skrajnie absurdalnym. W jej pozbawionych sensu ramach człowiek był towarem. Biali kupcy, chwytając kciukiem i palcem wskazującym za podbródek, przyglądali się im z ciekawością nabywcy. Ich mięśniom, zębom, skórze. Nigdy oczom.

Sprzedawcy entuzjastycznie zachwalali wystawiany asortyment: „Łagodny jak baranek! Zdrowy!”, „Pokorny niczym święty Franciszek!”, „Pracuje za pięciu!”, „Wierny jak sam pies!”, „Stary, ale jary!”, „Czarny klejnot pustyni!”. Kupowano istoty ludzkie za alkohol, tkaniny, metale i konie. Każdy koń wart był dwadzieścia „sztuk” dobrych – czyli młodych i silnych – mężczyzn. W jednej z takich wymian za walutę postużył starszy brat młodej i dumnej Afrykanki. Drogą licytacji wymieniono go na wino.

W akcie oporu reszta braci zdecydowała przyspieszyć planowaną już wcześniej rebelię. Ze względu na oczywistą przewagę wroga i to, że porozumienie się z towarzyszami niedoli, którzy nie mówili ich językiem, było prawie niemożliwe, bunt błyskawicznie zakończył się fiaskiem i surowymi karami cielesnymi. Portugalczycy bardzo szybko uświadomili im, że nie istniała żadna alternatywa dla całkowitego podporządkowania się. Próbowali oni uniemożliwić Afrykanom nawet samobójstwo, które oznaczało dla nich mniejszy zarobek.

Trzeciego dnia nabrzeżnej niewoli zjawił się w porcie handlarz o skórze ciemniejszej od ich własnej. Uzbrojony i ubrany jak Europejczycy. Zasilił ludzki magazyn grupą mieszkańców ze znajomej Dandrze osady – rozpoznała ich dzięki charakterystycznej fryzurze (każdy lud miał swój unikatowy sposób ścinania włosów). Jego zapłatą była

wyłącznie broń i amunicja. W ten sposób gwarantował sobie przewagę nad innymi plemionami, zapewniając sobie tym samym los ujarzmiającego miast ujarzmianego.

Czwartego dnia do brzegu przybiła tak zwana „karawela”. Dandara nie wiedziała, czym był ten kolos, ale przeczuwała, że nie przynosił dla niej dobrych wieści. Nie wyobrażała sobie jeszcze wtedy, że to on wykorzeni ją (tak jak i miliony innych) na zawsze z afrykańskiej, matczynej ziemi i zabierze w równie bolesną i daleką podróż w nieznane.

Przy takim przedsięwzięciu nie mogło zabraknąć, naturalnie, przedstawiciela kościoła. Zanim asortyment został załadowany, musiał zostać najpierw ochrzczony. Zmiana „pogańskiego” imienia na chrześcijańskie była dopiero początkiem „wielkiego szczęścia” na drodze ku Bogu, drodze do wybawienia ze stanu dzikości. W ramach przedłużenia sakramentu, pasterza dusz zastąpiono byłymi pastuchami bydła. Ustawiono jeńców w kole, plecami do ogniska, zakazując rozglądania się. Posłuszeństwo gwarantował mężczyzna z biczem. Jego kolega, z kolei, piętnował ich rozpalonym żelazem bez szczególnego ukrywania odczuwanej satysfakcji. Wkoło wybrzmiewały wesoła muzyka i beztroski śmiech raczących się winem ewangelizatorów (w większości analfabetów bądź półanalfabetów) niosących cywilizację. Skuci jednym łańcuchem za nogi i związani jednym sznurem za szyję, wykorzenieni Afrykanie opuszczali na zawsze ziemię swoich ojców, bóstw, kultury.

Ładownia: brak światła dziennego, smród, brud. Zmuszający do pozycji leżącej absurdalnie nisko osadzony sufit. Siedemset osób, wszyscy nadzy – mężczyźni stłoczeni z jednej strony, a pięciokrotnie mniej liczne kobiety z drugiej. Noc nie różniła się od dnia. Dandara, tak jak i reszta, nie rozumiała z tego wszystkiego zupełnie nic. Dostawali do jedzenia wyłącznie stary, gotowany maniok. Przetrawiony, ładował najczęściej w tym samym pomieszczeniu. Nieprzetrawiony – także. Krótko mówiąc, atmosfera w ładowni była dokładnie na tym samym poziomie co jej zapach. Gorsze jeszcze od głodu było pragnienie. Pragnienie

gmatwało zmysły. Kobieta, która pewnego dnia (lub nocy?) napadła na Europejczyka w celu zdobycia dodatkowej porcji wody, została zgwałcona i wychłostana. Ciężko chorych i konających z wycieńczenia wyrzucano za burtę.

Nie żeby kolonizatorom nie zależało na zarobku z dostarczenia żywego towaru w dobrym stanie – dlatego właśnie upychano na statku, ilu niewolników się tylko dało. Umierało około dziesięciu procent – ryzyko wliczone w kosztą przedsięwzięcia. I tak byli oni najmniejszym wydatkiem w porównaniu z kosztami związanymi z użytkowaniem i wyposażeniem statku, wynagrodzeniem oraz kilkumiesięcznym wyżywieniem dla załogi. Ponadto, postrzegano ich jako zasoby łatwo odnawialne, wręcz niewyczerpalne, a do tego gotowe do bezpośredniej sprzedaży, bez problematycznej potrzeby obróbki.

PER SPEK TY WA II

**Człowiek, który ze swej natury
nie przynależy do siebie samego,
a do kogoś innego,
jest niewolnikiem z natury.**

- Arystoteles, *Polityka*

Jeszcze księżyc nie ustąpił miejsca kielkującemu nad lesistym horyzontem słońcu, kiedy bijący oschle dzwon zarządził poranny apel przed *senzalą*. Jutrzenne powietrze mierzi skórę zmęczonych dniem poprzednim niewolników. Nadzorca gromadzi ich przed kaplicą wzniesioną przez gospodarza, który obiecał ją świętemu Łazarzowi za powstrzymanie grasującej w pobliżu zarazy przed nawiedzeniem jego hacjendy. Z dłonią pewnie zaciśniętą na zaimprovizowanym bacie nadzorca odmawia poranną modlitwę i przydziela codzienne obowiązki. Bez większych obrządków i ceremonii zaczyna się kolejny dzień fabryki zwanej Brazylią.

Ponieważ przypadło Dandarze pracować na dość odległej plantacji, zabiera ją wóz zaprzężony w brzuchate, ostentacyjnie sapiące woły. Przed transportowanymi toczy się spektakularne widowisko światła dowodzącego swej supremacji nad wszelką ciemnością. Za ich plecami – ostatni bastion nocy. Szarzyznę momentu przerywają jedynie pstrokate, skandalicznie krzykliwe bandy goniących w niewytłumaczalnym pośpiechu papug.

Nędznie odziane kobiety i mężczyźni, z bambusowymi koszami na plecach, rozproszeni wśród zielonych krzewów kawowca, sprawnie przebiegają palcami w ziarnach przypominających swym połyskliwym szkarłatem dojrzałe czereśnie. Dzieci pracują, zbierając te ciemniejsze, które opadły już na ziemię. Wypełnione po brzegi kosze dostarczane są nadzorcy, który przyznaje za nie metalowe żetony reprezentujące ułamek wartości, którą Afrykanie są mu każdego dnia „dłużni”. Całej rutynie towarzyszy równie monotonny śpiew. Prowadzący narzuca powolny, stały rytm, by reszta kolegów mogła wtórować mu pieśniami o pracy, o Mamie Afryce, o nich samych. Dandara już dawno przestała liczyć, który raz powtarzana jest ta sama melodia.

Okolo dziesiątej rano przychodzi czas na obiad, pierwszy posiłek w ciągu dnia. Naczynie z tykwy wypełniane jest zazwyczaj fasolą, dynią, maniokiem lub mąką kukurydzianą wymieszaną z ciepłą wodą, w najlepszym wypadku z akompaniamentem wieprzowego ogona, czy ucha. Oprócz tego, w zależności od pory roku, ich mizerna dieta urozmaicana jest także owocami takimi jak banany, mango, pomarańcze, czy gujawy.

Nadzorca warczy coś po portugalsku na jedzącą w kucki Dandarę: *rápido, rápido, negra preguiçosa* – tego już się nauczyła. Ma się pospieszyć. Przetyka resztę bez przeżuwania i z powrotem rusza do pracy.

Okolo trzynastej po południu dostają zazwyczaj kawę z cukrem trzcinowym. Dziś jednak, jako że z powodu długotrwałej ulewy zrobiło się wyjątkowo chłodno, zastąpiono ją *cachaçą*. Dandara czuje wstręt do tak mocnego alkoholu, ale na kalorie się nie wybrzydza.

Szesnasta. Kolacja – to samo co na obiad, z tym że z dziesięcioma minutami wytchnienia po posiłku. Z powrotem na pole, aż do zmroku.

Apel. Modlitwa: pocieszenie dla rozczarowanych, hamulec dla zbuntowanych, nadzieja dla tych, którzy ją stracili – codzienna lekcja potulności dla chrystusowych owieczek. Następnie młócka i przemiał kukurydzy oraz selekcja i łuskanie kawy. Do spania. Jutro od nowa.

W *senzali*, bambusowo-glinianej konstrukcji bez okien, Teresa już, nie Dandara (bo tak ją przechrzczono w imię Chrystusa), układa się na słomianym pościeliu, by oddać się niepewnościom nocy. Głód, strach, *banzo*¹ i brak perspektywy na lepsze jutro przeciwstawiają się żebrzącemu o sen zmęczeniu. Od kawowców, przez dzieci gospodarza, po same gwiazdy – nic na tej obcej ziemi nie jest jej przyjazne.

Niestety moja Naomi nie była w stanie opowiedzieć mi o losach Dandary nic więcej niż to, co zawierają przekazywane w jej rodzinie z ust do ust historie – opowieści ubogie w szczegóły, mimo że uzupełniane z biegiem lat wyobraźnią kolejnych pokoleń. Archiwa na temat niewolników przeważnie mówią tyle samo, co na temat krów, koni, czy świń poszczególnych gospodarzy – zazwyczaj znana jest jedynie liczba posiadanych sztuk. Ale jeszcze do Dandary wrócimy.

¹ W języku mbundu: głęboko depresyjna tęsknota za Afryką.

PER SPEK TY WA III

Nic tak nie rozbudza jak rezonans eksplozji obory. Statystyczny ospały zwykle pozostaje w przekonaniu, że ma on zwyczajnie do czynienia z powszednim cudem nieprzeniknionej rzeczywistości snu. Najgorszym koszmarem jest jednak ten, w którym rzeczywistość drapieżnie potwierdza swą tożsamość nadmiarem autentyczności.

Tego poranka, Jaśkowi nie przeszły nawet przez głowę żadne nieprzeniknione cuda. Jego starszy brat, piętnastoletni Julek, wyrwał go z łóżka, krzycząc: „Niemce przyszły!”. Dwie minuty później, cała rodzina wyskakiwała już przez okno wychodzące na tyły drewnianej chaty, która miała spłonąć o rutynowej porze wspólnego śniadania. Górskie powietrze, zazwyczaj bezlitośnie przesywające, teraz skamlało żałośnie rozrywane przez świst pocisków. Niesiony na rękach ojca Jan już, nie Jasiek (bo od tego momentu przestał być dzieckiem raz na zawsze), naświetlił w swojej pamięci fotografię pożogi: płonąca chata o spadzistym dachu, powalona krowa z nienaturalnie rozwartymi oczyma, ewakuujący się z dwuletnią Helenką sąsiedzi i stromy stok, po którym lubił zjeżdżać zimą na worach wypełnionych sianem, i który

stał się ich Morzem Czerwonym na drodze do Ziemi Obiecanej – pobliskiego boru.

Wtem ojciec spostrzegł, że brakuje jednego z synów. Postawił ośmioletniego Janka na własne nogi i zawrócił z taką prędkością, jakby wcale nie odczuwał wiszącego nad nim ciężaru beznadziei. Serce matki, rozdarte na pół przez zaistniałą sytuację, kazało jej biec za mężem, po tym jak nakazała najstarszemu z braci eskortowanie rodzeństwa do samego boru, jak najdalej od tragedii. Julia Barleska nie zauważyła jednak, że jej córka, równie rozdarta, pognęła ostatecznie za nią.



W 1937 r. w Małej postawiono zjawiskowy pomnik Chrystusa, na wzór zbudowanej w tej samej dekadzie statui Zbawiciela z Rio de Janeiro, aby chronił mieszkańców wioski. Podczas ofensywy odstrzelono świeżuteńki, dopiero co wyrzeźbiony Jezusowy palec, jednak ofiara ta – przekonują starzy górale – odczytana została jako wstawienictwo i ocalała życia niektórych tubylców. Janu Barleskiemu, wraz z bratem, udało się schronić w gęstwinie wiekowych świerków.

Czekali z sercem w przełyku, wypatrując reszty rodziny. Po dwóch godzinach apokaliptyczne odgłosy naraz ucichły, pozostawiając za sobą przygniatającą ciszę. Po kolejnych dwóch – usłyszeli ludzkie głosy. Płomień ich nadziei został jednak błyskawicznie zdmuchnięty przez lodowate tchnienie strachu. Były to głosy przemawiające w obcym, nieprzyjaznym języku. Rozbrzmiał pojedynczy wystrzał pistoletu. Janek i Julek uciekli ślepo w głąb lasu, tracąc tym samym swoje i tak już nikłe szanse na łatwe odnalezienie rodziny.

Trudno powiedzieć, czy pierwsza noc była najgorsza z powodu zimna, głodu, strachu, czy dlatego też, że była pierwszą, która zapowiadała kolejne. Od mrówek, przez korony drzew, po same gwiazdy – nic nie wydawało się przyjazne. Na szczęście Julek, który był zastępowym w drużynie harcerskiej, pamiętał ze zbiorów jak zbudować szałas.

Nie mogli pozwolić sobie na luksus rozpalenia ogniska, aby nie ryzykować zdradzenia swojej pozycji najeźdźcom, którym nic nie zrobili, a którzy chcieli ich skrzywdzić z nieodgadniętych dla nich powodów. Próbowali zasnąć w swych objęciach, aby ogrzać się ciepłem swoich ciał, jednak tej nocy mieszkańcy lasu również byli wyjątkowo niespokojni, jak gdyby bali się, że także i oni mieli nieznane im porachunki z nowymi przybyszami. Brzmiało to, jak gdyby przygotowywali jakieś masowe przesiedlenie. Barlescy, prawie pewni bycia świeżo upieczonymi sierotami, w nocy nie zamienili ze sobą ani zdania oprócz nic nie obiecującego „będzie dobrze”.

Po trzech dniach w borze bracia natknęli się na znaną im z widzenia na niedzielnych mszach rodzinę. Mazurowie nie wiedzieli nic o ich rodzicach, ale złożyli im atrakcyjną ofertę wspólnej niedoli. Zdzisław Mazur próbował wykrzesać w chłopcach iskrę nadziei, przekonując, że rodzice z pewnością błędzą gdzieś po lesie i szukają ich dniem i nocą. Po wspólnej modlitwie do prowizorycznego krzyża, kiedy niebo znów odkryło swe szydercze gwiazdy, rozpalili skromne ognisko, by upiec w nim cztery ziemniaki.

Piątej nocy, kiedy obóz ocalałych zasnął pierwszym twardym snem, Julek Barleski wymknął się niezauważony, by udać się w stronę domu. W lesie musiał iść praktycznie po omacku, jednak kiedy dotarł do stoku, przeraziła go intensywność księżycowego światła. Wydawałoby się, że on także współpracował z najeźdźcą. Tak jak nauczono Julka na harcerskich biegach, wspiął się po stoku, czołgając się. Ujrzał to, czego się spodziewał: otwarte na oścież okno, przez które uciekli, oraz zgłiszczą niedopalonych ścian. W okolicy panowała cisza niemalże absolutna. Pobrząkiwało jedynie ambiwalentne trili-lili rozpostartego jakby między gwiazdami przymierza świerszczowatych.

Chciał sprawdzić domy sąsiadów, ale nie miał odwagi zmierzyć się z tym, co mogło go tam zastać. Powalona krowa wciąż znajdowała się w tej samej pozycji – bez zmrużenia oka, znacznie szczuplejsza i z liczny towarzystwem much. Niedyskretność gigantycznego księżycy